

Był mężczyzną, który trzyma
jej życie w swoich rękach.

Myślała, że mogłaby
go pokochać, ale
przez większość czasu
go nienawidziła



Reaper

Drugi tom serii o

irlandzkiej mafii

A. ZAVARELLI



Tytuł oryginału

Reaper

Copyright © 2016 by A. Zavarelli

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2021

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Magdalena Lisiecka

Korekta:

Anna Powązka

Joanna Kasprzyk

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8178-465-8

A. ZAVARELLI

REAPER

BOSTON UNDERWORLD #2

TŁUMACZENIE

TOMASZ KUPCZYK

OŚWIĘCIM 2021

Niniejsza książka jest dziełem fikcyjnym. Imiona, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki albo zostały wykorzystane w fikcyjnych celach. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych zdarzeń i osób, żywych lub martwych, jest przypadkowe.

PROLOG

Sasha

– Nie podoba mi się, że wychodzisz z tym facetem – mówi mama.

Schylam się, żeby zapiąć buty i jednocześnie chcę ukryć przed nią moją minę.

– W porządku, mamó. Poradzę sobie z nim.

– Po prostu tego nie rozumiem, Sasho – zaczyna kolejną ze swoich tyrad. – Wychowałam cię na dobrą dziewczynkę. Zawsze taka byłaś. Miałaś przed sobą świetlaną przyszłość. Prawdziwą szansę, żeby uciec z tej okolicy i zrobić coś ze swoim życiem. A teraz jesteś taka zapatrzona w tych facetów...

Patrzy na moją siostrę Emily siedzącą w drugim końcu pokoju, jakby samo wypowiedzenie słowa „mafia” mogło mieć na nią jakiś wpływ. Za każdym razem, gdy widzą mnie w towarzystwie Blaine’a, dostrzegam rozczarowanie wymalowane na ich twarzach. Lecz wcale nie wiedzą, dlaczego robię to, co robię. Nie mają pojęcia, że tak będzie lepiej.

Bezpieczniej.

Zaciskam powieki, mrugając, próbuję przepędzić presję. *Pięć rzeczy*, w mojej głowie rozlega się głos ojca. Znajdź pięć rzeczy, które możesz poczuć, usłyszeć, zobaczyć i dotknąć. *Uspokój się, Sasho.*

Więc to robię.

Nikt nie wie, że robię to prawie dziesięć razy dziennie. Od zawsze byłam za bardzo spięta. Moja mama nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić – zresztą jak i z innymi rzeczami – więc zostawiła to mojemu ojcu. Jego głos mnie uspokajał. Miał pokorny ton ciężko pracującego mężczyzny, który kochał i dbał o swoją

rodzinę. Gdyby był tu teraz, wiedziałby, co powinnam zrobić. Wiedziałby dokładnie, jak powstrzymać mnie przed utonięciem.

Jednak go tu nie ma. Nie ma go z nami, od kiedy skończyłam dwanaście lat. Zmarł na atak serca w dniu urodzin Emily. Teraz mieszkamy tu we trzy i jesteśmy niczym dom pozbawiony fundamentów.

Mamę łapie kolejny atak kaszlu, a mój lęk wraca z pełną mocą.

– Musisz znowu iść do lekarza – zaczynam na nią psioczyć.
– Kaszlesz tak już od kilku tygodni. Nie podoba mi się to. No i za dużo palisz.

Wyrzuca ręce w powietrze i zaczyna kłać na mnie po portugalsku. Mimo że wyjechała z Brazylii jako młoda dziewczyna, wciąż używa ojczystego języka, głównie wtedy, gdy się denerwuje. A to zdarza się niemal cały czas.

– Palę tak dużo, bo ciągle się o was martwię. – Unosi rękę i ciągnie się za włosy. – To przez was robię się siwa. Sprawiacie, że wyglądam jak staruszka.

Chociaż tak naprawdę nie ma w tym nic zabawnego, śmieję się i kręcę głową. Martwię się o nią. Ona z kolei uwielbia oskarżać nas o to, że z naszej winy robi się siwa.

– Jakby to wszystko miało jakikolwiek związek z papierosami – wtrąca się Emily.

Mama wzrusza ramionami i klepie mnie dłonią po policzku.

– Moja piękna córeczka – mówi, a jej oczy błyszczą miłością.
– Chcę dla ciebie tylko jak najlepiej.

– Wiem. – Unoszę ręce i ściskam palcami jej dłoni.

Pukanie do drzwi rujnuje ten moment. Mama powoli rusza w ich stronę, żeby otworzyć, a moje kiszki fikają kozła. Na ustach Blaine’a pojawia się uśmiech, gdy na nią patrzy tymi swoimi czarnymi jak atrament ślepiami. Dla kogoś innego ten uśmiech wydawałby się uprzejmy, a nawet czarujący, lecz dla mnie jest tylko oszustwem, które Blaine chciał mi pokazać. Pod jego powierzchnią kłębi się zło szukające okazji, żeby wypłynąć na wierzch i zniszczyć tę iluzję.

– Pani Varela. – Pochyla głowę i całuję mamę w dłoń. – Za każdym razem wygląda pani coraz piękniej.

Mama uśmiecha się sztywno, ale z szacunkiem, lecz wiem, że Blaine dostrzega w jej oczach strach. Ja również go widzę. Ten strach go podnieca. Świadomość, że ani ja, ani Emily czy nasza mama nic nie możemy zrobić. Faceci tacy jak on zawsze dostają to, czego chcą. Problem polega na tym, że zawsze im mało. Zawsze próbuję skupić na sobie jego uwagę, jednak im częściej tu przychodzi, tym śmielej błądzi spojrzeniem.

W tej chwili znowu patrzy na Emily. Zawsze kryjąca się w mojej piersi panika eksploduje z całą mocą, gdy pożera ją wzrokiem. Całą siłą woli próbuję zataić przed nim fakt, że mnie to niepokoi. W przyszłym tygodniu Emily rozpoczyna studia. Jeszcze tylko tydzień i będzie bezpieczna. Jeszcze tydzień i nie będzie wykorzystywał jej przeciwko mnie.

– Nie wracaj zbyt późno, Sasho. – Mama całuje mnie w policzek, a ja specjalnie dla niej przywołuję uśmiech na twarzy.

– Przestań się martwić – mówię. – I zadzwoń do lekarza.

Kiwa głową, a Blaine odprowadza mnie do samochodu. Gwiżdże pod nosem, co napętnia mnie strachem.

Odwraca się w moją stronę, gdy już siedzi w fotelu kierowcy. Jego palce naruszają moją przestrzeń osobistą i mocno szczypią mnie w podbródek. Nie cofam głowy, jednak z trudem powstrzymuję wstręt.

– Hej, ale ta twoja siostra szybko rośnie. Ujeżdżała już kogoś?

– Ma chłopaka – kłamię.

Jego szorstkie palce wędrują po moim policzku i wzdłuż szyi, zatrzymując się na siniaku, który zostawił po ostatnim spotkaniu. Ciemne oczy przez chwilę podziwiają jego dzieło, a dopiero potem mierzą się z moimi na spojrzenia.

– Lepiej, żebyś była grzeczną dziewczynką, Sasho – oznajmia.

– Twoja postawa zaczyna mnie już nudzić.

Pozostawia resztę słów niewypowiedzianą, odpala silnik i włącza muzykę. Nie muszę słyszeć jego gróźb. Doskonale zdaję sobie sprawę, co robi.

Odwracam wzrok i wyglądam przez okno, żałując, że kiedykolwiek na mnie spojrzał.

Znowu tu jest.

Patrzy na mnie. Zawsze się gapi. Obserwuje, rozmyśla... czeka. Jednak nie wiem na co. Nigdy nie mówi ani słowa. Ani jednego. Do innych, owszem, odzywa się. Jednak nie do mnie.

Często myślę, że nienawidzi mnie z powodów, których nie rozumiem. A potem odwraca w moją stronę te swoje smutne oczy w kolorze whisky, a ja chcę uwierzyć, że w ich cieniu kryje się coś więcej. Jako jedyny przenika wzrokiem sztuczny uśmiech wymalowany na mojej twarzy. Zupełnie jakby rozumiał, że gdy Blaine opowiada dowcip, to wydobywający się z mojej piersi śmiech jest równie sztuczny jak on sam.

Złudne nadzieje.

To właśnie widzę, gdy na niego patrzę.

Nigdy nie wierzyłam w bajki. W mojej opowieści nie ma żadnego rycerza na białym koniu. Jestem tylko ja. Nie jestem dziewczyną, która trafi na księcia. Jestem dziewczyną, którą się puka, bo można to robić.

Blaine nie jest pierwszy. Wszyscy mówią mi, jaka jestem śliczna i słodka. Jednak gdy patrzę w lustro, nie widzę nikogo ślicznego. Nie widzę nikogo słodkiego. Widzę zepsutą i paskudną osobę. Widzę wstyd i wstręt do samej siebie. Kurwę, której Blaine używa jako swojego prywatnego worka treningowego. Rzeźby, które musiałam robić w swoim życiu nie są ani ładne, ani słodkie. Ja również.

Już się z tym pogodziłam.

Udręczone dusze mają swoje własne piękno. Mroczne, prze-rażające piękno. Ten sam rodzaj piękna rozpoznaję w Ronanie. Nie jest jak pozostali faceci. Jak ci, którzy mówią mi, jak bardzo pragną mojego ciała. Którzy mówią o tych wszystkich sprośnych rzeczach, jakie chcieliby ze mną robić. Dla dziewczyny, która w wieku trzynastu lat w ciągu jednej nocy zmieniała się z kujonki w atrakcyjną laskę, kiedyś te słowa coś znaczyły. Chłopcy mówili mi wszystko, co ich zdaniem chciałam usłyszeć. I wierzyli, że kilka miłych słów da im prawo, żeby przez krótką chwilę mnie mieć. Ale tylko przez krótką chwilę.

Bo zawsze w końcu cię porzuca.

Bo jesteś dla nich niczym. Tak jak ja.

A w oczach Blaine'a znaczę jeszcze mniej.

W dniu, w którym mnie ujrzał i postanowił, że będę jego, mój los został wryty w skale. Kłębiące się we mnie żal i nienawiść są niczym toksyna, która wypacza wszystko wokół.

Nie widzę już dobra na tym świecie. Nie potrafię dokładnie powiedzieć od kiedy, ale wiem, że tak jest. Moje serce zatrzymało się dawno temu. Skazywanie się na nicość jest proste. A mimo to zbyt często zalewa mnie rozpacz.

A potem Blaine przyprowadza mnie tutaj i widzę tego męż-czyznę o smutnych, brązowych oczach, a mrok mojej duszy oświetlają srebrzyste linie światła słonecznego.

W jego oczach dostrzegam coś innego. Jest zabójczy i cichy. Zamknięty w sobie i tajemniczy. W przeciwieństwie do innych nie gada dla samego gadania. Wiem, kim jest i czym się zajmuje.

To Reaper¹.

Tak nazywają go w Syndykacie MacKenna. Jego przydomek mówi sam za siebie. A jednak ten człowiek – ten zimnokrwisty zabójca – nie ma dość odwagi, żeby ze mną porozmawiać. Za każdym razem, gdy na niego patrzę, oblewa się rumieńcem, a potem zaciska szczęki w złości.

¹ *Reaper* – (z ang.) żniwiarz, uosobienie śmierci, ten który zabiera dusze na „drugą stronę” (przyp. tłum.).

To sprawia, że chcę go w sposób, w jaki chcieć nie powinnam. Za każdym razem, gdy tylko wejdzie do tego samego pomieszczenia, moje serce zatrzymuje się, po czym zaczyna szybciej bić. Jestem jak wymagający naprawy stary, zardzewiały silnik, a ten nieznajomy zdaje się być jedynym nadającym się do tej roboty mechanikiem.

Głupia fantazja małej dziewczynki, która wciąż wierzy w bajki.

Jednego jestem pewna, że ten zabójca – Reaper – nie jest moim księciem na białym rumaku. W sumie to podejrzewam, że w tej historii może być złoczyńcą. Bo jeśli Blaine kiedykolwiek się dowie, co do niego czuję, to z pewnością jego śmierć stanie się pierwszą, jaką będę miała na sumieniu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sasha

Dzisiaj siedzi we wnętrzu. Obserwuje mnie, gdy przechodzę obok i razem z Kayą roznoszę drinki. *Slainte* tego wieczoru jest pełne, a strefa VIP pęka w szwach. Jest tak, od kiedy Irlandczycy zaczęli pracować nad sojuszem z rosyjską mafią. To coś, o czym, technicznie rzecz biorąc, nie powinnam wiedzieć, ale wszyscy wiedzą.

Jeśli się dla nich pracuje, nie ma możliwości, żeby o tym nie usłyszeć. Zwykle nie zajmuję się serwowaniem napojów, ale dzisiejszej nocy mamy za mało ludzi do pracy. Służę tym mężczyznom poprzez taniec. Oświetlona blaskiem scenicznych lamp odstawiam show i wzbudzam w nich poczucie, że mogłabym spełnić każdą fantazję.

Jestem świetnym kłamcą. Mistrzynią manipulacji. Sposób, w jaki na nich patrzę i przechylam głowę, mam już opanowany do perfekcji. A oni myślą o tych wszystkich sprośnych rzeczach, które chcieliby ze mną robić. Ja natomiast myślę o umierającej w domu matce. O tym, jak bardzo nienawidzę tego życia i wszystkich w nim obecnych. Mam w sobie tyle nienawiści, że to tylko kwestia czasu, nim ona eksploduje.

Gdy jestem na scenie, mogę być dla nich, kim tylko chcą. Świętą lub grzesznicą. Dziewczyną z sąsiedztwa lub spod latarni. Jedyne, czym nie mogę być, to sobą.

Bo tamta dziewczyna zniknęła dawno temu. Już nawet nie jestem wam w stanie powiedzieć, kim teraz jest. Na tym właśnie polega problem z kłamstwami. W końcu zaczyna ci się wydawać, że są prawdą. W końcu zaczynasz w nie wierzyć.

Jestem jednym wielkim, pieprzonym bajzlem owiniętym w słodkie kłamstewka. Trzy lata temu wpadłam w szpony bo-
stońskiego półświatka i nie mogę się z nich wyrwać. Chłód i sa-
motność to cena za tkwienie w cieniu człowieka, który zaprosił
chaos do mojego życia.

Jestem ponad tym wszystkim. Gangsterami. Klientami. Pożera-
niem mnie wzrokiem, komentarzami i wszędobylskimi łapskami.
Gdy ich żony bez wątpienia siedzą w domu, zajmując się dziećmi,
oni przyjeżdżają tutaj, żeby gapić się na moje cycki i klepać mnie
po dupie. Jestem wykończona. Jadę na samych oparach.

Przez całe życie próbowałam być dobrą dziewczyną. Tak jak
chciała tego mama. Lecz teraz jestem gotowa zrobić coś złego. Je-
stem gotowa powiedzieć bez względu na konsekwencje, że pier-
dołę ten świat i wszystkich w nim obecnych. Jedyną osobą, która
sprawia, że twardo trzymam się zdrowych zmysłów, jest moja
matka, ale gdy jej zabraknie, będę miała na wszystko wyjebane.

A to przypomina mi, że przed występem na scenie muszę wy-
pić Red Bulla. Schowana w kieszeni tabletka bardzo mnie kusi.
Dexedrine – moja nowa, ulubiona słabość. Kiedyś moja siostra to
brała, a teraz ja używam tego jako stymulanta, żeby nie zasnąć.

Idę za Kayą do baru, dorzucam do naszego zamówienia drin-
ka dla siebie i po chwili dostaję go poza kolejnością. Zazwyczaj
nie piję ani przed, ani po tańcu, ale ostatnio to jedyna rzecz, która
pomaga mi przetrwać te wszystkie występy na scenie. Korzy-
stając z okazji, że Kaya skupiona jest na czymś innym, szybko
wrzucam pigułkę do ust i popijam alkoholową mieszanką. Ale
gdy ponownie otwieram oczy, widzę, że się na mnie gapi.

– Wyglądasz jak gówno – zauważa.

– Dzięki, skarbie.

– Mówię, jak jest. – Wzrusza ramionami. – Kiedy ty właściwie
ostatni raz coś jadłaś?

Próbuję to sobie przypomnieć, jednak nie pamiętam. Chyba
dzisiejszego ranka. Wiem, że jestem chudsza niż zazwyczaj. Ale

tak naprawdę ta kwestia nie znajduje się na liście rzeczy, które mnie obchodzą. Moja matka umiera. Na pierdolonego raka.

Gdy pigułka przenika do mojego krwioobiegu i pobudza układ nerwowy, cała sala zaczyna wirować. Gdy tak czekamy, moja uwaga skupia się na otoczeniu baru. Jak przez mgłę patrzę na cały ten zgiełk. Na tych wszystkich śmiejących się ludzi, którzy dobrze się bawią. Jebać ich. Jebać mafię. I jebać też raka. Chcę się stąd wynieść. Z dala od tego życia, z dala od przelanej krwi i mroku, które zawładnęły każdym aspektem mojej osoby.

I co najważniejsze – z dala od niego.

Ronana.

Największego, jebanego kłamcy pośród nich wszystkich. Udaje, że ma to w dupie. Udaje, że nie widzi, jak na niego patrzę, albo patrzy na mnie tak, jakby chciał, żebym zniknęła. Jestem tym, czego najbardziej żałuje.

A mimo to moje serce bije dla niego.

Dla człowieka, który zna mój sekret. Człowieka, który trzyma moje życie w swoich rękach. Czasami mam wrażenie, że mogłabym go pokochać. Jednak przez większość czasu po prostu go nienawidzę. Za to, że czyni mnie słabą. Za to, że kusi mnie, żebym została. Za to, że zastanawiam się, kiedy w końcu podejmie dobrą decyzję i mnie też zabije.

Nie rozumiem, jak można żywić uczucia, które są tak skrajnie różne. Mam ochotę go spoliczkować. Mam ochotę krzyknąć mu prosto w twarz i zmusić go, żeby zwrócił na mnie uwagę. To jego nonszalanckie zachowanie względem mnie jest znacznie gorsze niż jakikolwiek ból zadany przez Blaine'a. Nie jestem warta nawet jego uwagi. Niewielkiej chwili z jego życia. A mimo to, gdy wchodzi do sali, wszystko inne przestaje istnieć.

Wiem, że dzisiejszej nocy tu jest. To dlatego nie mogę się skupić. Zanim go zobaczę, czuję, jak jego mroczna energia przenika przez ściany. Cały czas między nami jest pewnego rodzaju więź. Nie wiem, czy chodzi o ten sekret, czy o coś zupełnie innego.

Nie wiem też, czy tę więź można przerwać, nawet jeśli bym tego chciała. Ronan jest niczym rozciągnięty tuż nad ziemią drut, mogący zdetonować drżące we mnie emocje o sile huraganu piątej kategorii. Jestem jednak skrajną masochistką i pozwalam, aby zrównał mnie z ziemią. Raz za razem.

Chyba nigdy się nie nauczę.

Kaya i ja odbieramy drinki, po czym ruszamy w kierunku strefy VIP, w której go odnajduję. Zerka na mnie, gdy przechodzę obok jego stolika. Jednak w ręce już ma szklankę z drinkiem. Czysty, podwójny Jameson. Nigdy nie pije niczego innego.

Powinnam iść dalej. Na autopilocie utrzymać wyznaczony kurs. Bo każde inne rozwiązanie prawdopodobnie doprowadzi mnie do stanu, w którym nie chcę się znaleźć.

A mimo to i tak się zatrzymuję.

Nie mogę sobie z nim poradzić. Nigdy nie mogę sobie z nim poradzić. Między nami jest pewna cicha umowa. Polega na tym, że się unikamy i udajemy, że dla siebie nie istniejemy. Tylko tak naprawdę nigdy się nie zgadzałam na coś takiego. Co więcej, jest w tej umowie również zawarty pewien niewypowiedziany warunek, a mianowicie, że jeśli ją złamię, to on prawdopodobnie będzie musiał mnie zabić.

Zazwyczaj go nie prowokuję, ale dzisiejszego wieczoru jestem lekkomyślna i staję nad krawędzią. Chcę go przycisnąć. Chciał raz chcę sprawić, żeby poczuł dyskomfort, żeby nie była w tym osamotniona. Chcę podrażnić tę niezabliźnioną, ropiejącą wewnątrz mnie ranę.

Przesuwam wzrok z trzymanej przez niego szklanki na leżące na blacie stołu dłonie. Silne. Męskie. Eleganckie. To ręce, które odbierają życie. Nie zawahałyby się przed odebraniem także mojego. A mimo to, jakimś dziwnym zrzędzeniem losu, właśnie te ręce przywracają mnie do życia.

Tak jakby.

Na samo wspomnienie mój puls przyspiesza. Wszystkie synapsy w moim ciele stają w ogniu. W jego obecności czuję się jednocześnie zmęczona i jak na haju – jestem gotowa, aby się roztrzaskać i spłonąć. Dookoła w sali panuje chaos. Ale w jego epicentrum, w którym znajdujemy się oboje, jest cicho i spokojnie.

Jego twarz niczym magnes przyciąga mój wzrok. Na całej sali nie ma faceta, który mógłby z nim rywalizować. Oliwkowa skóra. Wyraźnie zarysowana szczeka. Prosty nos i wargi tak pełne grzechu, że mam ochotę je ugryźć i sprawić, by krwawiły. Chcę to zrobić tylko po to, aby móc skosztować jego mroku. Tylko po to, żebym mogła stwierdzić, że naprawdę jest człowiekiem. Bo czasami nie jestem tego pewna. Jest człowiekiem czy może maszyną? Zaprogramowaną tak, aby odczuwać jedynie palącą potrzebę zabijania. Bo tak o nim mówią.

Widziałam, jak zabija. Poczułam także smak jego furii. Spłynęła na mnie tak gwałtownie, że rozlała się po mnie i zostałam napiętnowana przez żyjące wewnątrz Ronana zwierzę. Pragnę tego zwierzęcia. Pragnę wszystkiego, co jest w tym człowieku, wraz z tym jego nienagannym garniturem i całkowitym brakiem ludzkich uczuć. Może – ale tylko może – mu też zazdroszczę.

Zazdroszczę, jak to jest nie czuć zupełnie nic. Nic a nic.

Chcę tego.

Mam rozszerzone źrenice, a gdy omiatam go wzrokiem, widzę, że jego postać jest zniekształcona. Nawet jako rozmyta plama wygląda nienagannie. Nigdy go nie zobaczycie w innym stroju niż garnitur. Jego twarz pokrywa co najwyżej jednodniowy zarost. Włosy ma przystrzyżone po bokach i dłuższe na górze. Paznokcie u dłoni ma przycięte, wypielęgnowane i wypolerowane. Jest pełnym przeciwieństwem tych wszystkich wad, z których sama się składałam.

Za okularów o czarnych oprawkach patrzą na mnie chłopięce, brązowe oczy. Otaczają je grube, ciemne rzęsy, za którymi często próbuje się ukryć. Bo wie, że oczy go zdradzają. Te oczy

burzą jego zimną fasadę swoją głęboką niewinnością. Są chwile – takie jak ta – gdy potrafi być niemal życzliwy. Omiata wzrokiem moje ciało, a jego oczy natychmiast ciemnieją. Nigdy nie widzę w nich głodu. Jedynie szaleństwo.

Och, uwielbiam to szaleństwo. Bo szaleństwo jest lepsze od nicości. Szaleństwo oznacza, że jest zupełnie odporny na uczucia. Szaleństwo oznacza, że nie czuje apatii, gdy na mnie patrzy.

Pieprzony dupek.

– Cześć, Ronanie. – Mój głos ocieka słodką trucizną i mam nadzieję, że ją słyszy. – Ciebie też miło widzieć. Moja mama ma się świetnie, dziękuję, że o to pytasz. Umiera, ale wiesz, takie jest życie. Och, jakbyś się zastanawiał, to u Em też jest cudownie.

Mrużąc, patrząc na mnie, i przez krótki moment wydaje mi się, że mam halucynacje. Bo mogłabym przysiąc, że w tych brązowych tęczówkach pojawił się cień poczucia winy. Jednak mentalnie jego wzrok lodowacieje, a ja czuję nagłą potrzebę, żeby otulić się ramionami.

Nie wiem, dlaczego jestem dla niego taką suka. Zirytował mnie i chcę zirytować również jego. To przez te tabletki zachowuję się jak wariatka, jednak mam do wyboru to albo paść z wyścieńczenia. Mam ochotę się z kimś pokłócić i padło właśnie na niego. Jednak on w ogóle nie odpowiada. Nigdy nie odpowiada.

Poprawia kołnierzyk i zerka w kierunku drzwi, szukając w myślach drogi ucieczki. Widzę w jego oczach, że liczy dzielące go od drzwi kroki. Zawsze tak robi. Wydaje mu się, że tego nie zauważyłam. Ale zauważam. Mam te liczby w głowie i liczę wraz z nim.

Sprawiam, że czuje się niekomfortowo. Nietrudno odgadnąć dlaczego. Jestem pewna, że często myśli o tym, jak się mnie pozbyć, bo tylko w taki sposób może się ode mnie uwolnić. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że żałuje tego, co wydarzyło się dwa lata temu. Aby wybić mi tę myśl z głowy, odprawia mnie, wyciągając z kieszeni telefon.

Jeden z klientów strzela palcami i w ten sposób wyrywa mnie z zadumy. W chwili, gdy odchodzę od Ronana, on wstaje i wychodzi.

Oczy mi się same zamykają, gdy wpadam do mieszkania w Dorchester. Nazywam je domem.

Za bardzo nie ma tu czego oglądać. Całe życie mieszkam tu z matką, która pracowała, abyśmy miały dach nad głową. Co prawda przeciekający, ale zawsze dach. Znajdują się tu dwie sypialnie, salon, kuchnia, wszystko z najbardziej podstawowymi meblami.

Nigdy nie miałyśmy fajnych rzeczy. Po śmierci ojca, mama wydawała pieniądze przede wszystkim na to, żebyśmy z Emily były nakarmione, ubrane i zdrowe. Ale w mieszkaniu zawsze było czysto i schludnie. Czułam się tu jak w domu.

Teraz na meblach zbiera się warstwa kurzu, a w powietrzu unosi zapach stęchlizny, którego nie mogę się pozbyć bez względu na to, ile bym tu wietrzyła. Moje robocze ciuchy walają się po całym mieszkaniu, a wśród nich opakowania po przeróżnych lekach, a także sprzęt medyczny, którego mama potrzebuje.

Emily obecnie przebywa w Kalifornii – na stypendium Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego – więc spora część jej rzeczy stąd zniknęła. Bez tych różowych dziewczynskich duperek wszystko jest wyblakłe i szare. To jest to samo miejsce, w którym zawsze mieszkalam, lecz gdy teraz na nie patrzę, wcale nie czuję się jak w domu.

Człapię do kuchni i zastaję siedzącą przy stole Amy przeglądającą czasopismo.

Gdy mama rozchorowała się jeszcze bardziej, musiałam zatrudnić pielęgniarkę, aby przychodziła, gdy nie mogę być w domu. Amy jest odpowiednią osobą do tej pracy – urocza, uprzejma i zawsze świetnie sobie radzi. To dzięki niej mamie

jest teraz tak wygodnie, jak to tylko możliwe. Dodatkowo za jej sprawą mam jedzenie, więc tak naprawdę żyję dzięki niej.

– Jak się czuje? – pytam.

– W sumie to dopiero co się obudziła – odpowiada Amy. – Jest świadoma, jeśli chcesz się z nią zobaczyć.

Stawiam zakupy na blacie kuchennego stołu i z entuzjazmem postanawiam wykorzystać okazję. Chwile jak ta nie pojawiają się zbyt często, więc chwytam je, gdy tylko mogę.

– Dziękuję, kochana.

– Nie ma problemu – odpowiada. – Nie zostanę na noc. Kola-cja jest w lodówce.

– Dobrze, jedź bezpiecznie. Do zobaczenia jutro.

Amy prześlizguje się przez drzwi, a ja zarzucam na siebie bluzę, po czym ruszam do pokoju mamy. Nie chcę, żeby poczuła zapach perfum i alkoholu. Wie, w jaki sposób zarabiam na życie, ale to nie oznacza, że muszę się przed nią z tym obnosić. Staram się tego nie robić.

Moja mama pokładała we mnie wielkie nadzieje. Gdy byłam małą dziewczynką, pieszczotliwie nazywała mnie Kalkulatorem. Ciężko pracowałam w szkole i co roku byłam na liście najlepszych uczniów. Jednak matematyka zawsze była dla mnie najtrudniejszym przedmiotem. Zawaliłam tak wiele prac domowych, że nauczycielka w końcu wymusiła na mamie, żeby załatwiła mi korepetytorkę. Z jej pomocą okryłam, że matematyka wcale nie jest taka zła. W sumie to byłam w stanie wykonywać obliczenia, jakimi mnie zasypywała, dopóki nie były one zapisane na papierze. Niedługo potem byłam w stanie zajmować się rachunkami różniczkowymi i równaniami na poziomie uniwersyteckim.

Dla wszystkich, z wyjątkiem mojej mamy, był to szok. Nie byłam w stanie wyjaśnić, jak wykonuję te wszystkie obliczenia, kiedy mnie o to pytali. To była jedna z tych dziwacznych rzeczy, które przychodziły mi naturalnie. Mama była przekonana, że wyjadę z miasta, więc możecie sobie wyobrazić jej rozczaro-

wanie, gdy zaniedbałam swój talent i zaczęłam pracę w klubie ze striptizem.

Jednak tego nie żałuję, bo w ten sposób mogę być z nią w ostatnich miesiącach jej życia. I to nie matematyka mi to umożliwiła, a taniec. Tylko dzięki temu mogę teraz spojrzeć matce w oczy, wierząc, że postępuję słusznie. Bo gdyby nie taniec, nie mogłaby być tutaj, we własnym domu. Nie byłabym w stanie zaopiekować się nią tak, jak na to zasługuje. W taki sam sposób, w jaki ona opiekowała się mną przez całe moje życie.

Mój wzrok spoczywa na drobnej postaci leżącej na łóżku. Teraz wydaje się dla niej zdecydowanie za duże. Bez znaczenia, ile razy bym na nią nie patrzyła, za każdym razem ten widok spada na mnie jak tona cegieł. W moim gardle pojawia się wywołująca ból gula, a w oczach zaczyna rosnąć ciśnienie. Ruszając w jej stronę, próbuję nad tym zapanować.

– Hej, mamó. – Pochyłam się i całuję ją w policzek. – Jak się dziś czujesz?

Zaczyna kaszleć i patrzy na mnie pochmurnie szarymi oczyma. Kiedyś, gdy się śmiała, w kącikach jej oczu pojawiały się zmarszczki, lecz teraz nie ma w nich ani krztyny światła. Jest za to ból. Jej usta są suche i popękane, nawet nie próbuje nimi poruszać. Jest zbyt słaba, żeby mówić. Takie dni zdarzają się coraz częściej i wiem, co to oznacza.

Nadchodzi jej czas. Teraz już nic więcej nie można dla niej zrobić, poza uśmierzaniem bólu. Przez większość dnia traci i odyskuje przytomność. Kiedy była w stanie mówić, mamrotała bezładu i składu.

To najokropniejsza rzecz, gdy musisz patrzeć, jak odchodzi ktoś, kogo kochasz. Gdy co noc wracam do domu i widzę ją w tym stanie, czuję się, jakbym czołgała się po posłaniu z gwoździ. Równie przerażająca zdawała się świadomość, że mama jest mi wdzięczna. Za to, że jest w swoim znajomym i spokojnym domu. Nie chciałam jej puścić do hospicjum. Większość tego, co

zarabiam, idzie na opłacenie pielęgniarki i czynszu, jednak warto wydawać na to każdego centa. Przynajmniej gdy przyjdzie koniec, będę mogła powiedzieć, że umarła tam, gdzie było jej najwygodniej. Tam, gdzie była najszczęśliwsza.

To będzie jedyna dobra rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam w życiu. Jedyna rzecz, z której mogę być dumna. Mama próbowałaby mi wmówić, że jest inaczej, ale nigdy nie umiała kłamać. Wciąż myśli, że jestem dobrą dziewczyną. Że jestem jej aniołkiem. Ale się myli.

Kiedys byłam dobra. Chodziłam do kościoła, zajmowałam się wolontariatem. W szkole ciężko pracowałam. Robiłam wszystkie rzeczy, które zdaniem mamy były istotne, nawet gdy sama czułam, że jest odwrotnie. Całe życie byłam dobra i do czego mnie to doprowadziło? Do przemądrzałego zasańca i matki z rakiem. Oto gdzie.

Niedługo mnie zostawi. Nie chcę, żeby odchodziła. Tyle rzeczy opowiadałam jej przez łązy, bo nie jestem w stanie się powstrzymać. Ścisnęła moją dłoń, a to sprawia, że przechodzę przez kolejny napad.

– Nie jestem twoim aniołkiem, mamó – mówię jej. – Bez ciebie jestem nikim. Nie chcę już nawet próbować. Spójrz na mnie. Spójrz na siebie. To nie jest, kurna, fair.

Mama rozumie moje szaleństwo. Mruga, patrząc na mnie, i łza spływa po jej policzku. Ocieram go i moje oczy robią się szkliste. Wie, skąd właśnie wróciłam. Nienawidzi tego, że tkwię uwięziona w tym świecie i nie mogę się z niego wyrwać. Wiem, że się o mnie martwi. Zawsze najbardziej przejmowała się tym, bym uciekła, zanim ona odejdzie. Jednak obie wiemy, że tak się nie stanie.

Odejście z Syndykatu MacKenna nie będzie proste. Wiem zbyt dużo. Widziałam zbyt wiele. Wiem, kto by mnie ścigał, gdybym spróbowała odejść. Nie chcę, żeby to on musiał mnie zabić. Mogłabym to znieść, gdyby chodziło o kogoś innego. Ale nie on. Nie zdołam spojrzeć mu w oczy, gdy będę brała ostatni wdech. To

byłoby znacznie gorsze niż sama śmierć. To byłby najbardziej bolesny sposób na odejście z tego świata. Bo tym razem, po tym wszystkim, co się stało... tym razem wiem, że się nie powstrzyma.

Na razie muszę porzucić te myśli i skupić się na tym, co istotne. Raz dziennie muszę zaopiekować się mamą. Chociaż tyle mogę zrobić.

Idę do łazienki i robię zimny okład. Lubi to, dzięki niemu czuje się lepiej. To jedyna przynosząca komfort rzecz, jaką mogę dla niej zrobić. Kładę go na jej czole i patrzę, jak mi się przygląda. Swojej najstarszej córce. Swojej dumie i radości.

– Wiesz co, mamó? – szepczę. – Nie musisz się o mnie martwić. Bo zamierzam odejść i przeprowadzić się do Kalifornii. Niedaleko Em. Kto wie, może będę mogła jej pomóc w nauce. Mogłabym jej dawać korepetycje z matematyki czy coś.

Jej usta nieznacznie drżą i niemal widzę, że uśmiecha się jak kiedyś. Uśmiechem, który rozświetlał cały pokój. Zawsze była taka piękna, a teraz jest tylko pustą skorupą.

– Mówi, że o tej porze roku jest tam ładna pogoda – kontynuuję. – Mam tam koleżankę z liceum. Sarah, pamiętasz ją, prawda?

Mruga, lecz oczarowanym wzrokiem wpatruje się w moją twarz. Sarah nadal mieszka w Dorchester, pracuje w spelunie i ma czwórkę dzieci, ale mama nie musi o tym wiedzieć. Najgorsze było dla niej martwienie się, co się stanie ze mną i Em. A ja nie chcę, żeby się martwiła. Chcę, żeby żyła w spokoju. Wciąż czuję się winna za ten emocjonalny napad, więc ciągnę dalej:

– Jest aktorką – wyznaję. – Mówi, że może załatwić mi pracę. Oczywiście to nic nadzwyczajnego. Taka tam dodatkowa robota. Wiesz, jako ktoś siedzący w kawiarni na dalszym planie czy coś. – Mruga, dając mi w ten sposób znać, żebym mówiła dalej. – Mam też zamiar znaleźć fajnego, nudnego faceta. Wiesz, jakiegoś księgowego czy coś. Prawdopodobnie będzie mieć priusa i kiedy nie będzie przekazywać pieniędzy na cele charytatywne czy coś, będzie biegac maratony w weekendy.

Wargi mamy znowu drżą. Albo wie, że wciskam jej kit, albo łyka to jak pelikan. Ciężko powiedzieć, ale wydaje się szczęśliwa. Postanawiam mówić jej to każdego dnia, aż odejdzie. I wtedy – i tylko wtedy – pozwolę sobie na rozpacz i zaakceptuję rzeczywistość.

Szanse na to, że Irlandczycy pozwolą mi odejść, są niewielkie. Ale muszę spróbować. Nawet jeśli mi się nie uda. Przynajmniej będę mogła powiedzieć, że próbowałam. Bo za tym wszystkim – makijażem, szpilkami, brokatem i lakierem do włosów – dziewczyna ze sceny jest już nikim. Ma dość bycia pionkiem w grze innych. Ma dość facetów, którzy biorą i używają wszystkiego, czego tylko chcą, bez ponoszenia żadnych konsekwencji.

Najlepszym dniem w moim życiu będzie ten, w którym nie będę musiała znów oglądać ich twarzy.